№ 24. Warszawa, dnia (30 Maja) 11 Czerwca 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu i szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz i szpaltowy garmontu kop. 50.



O ubiorach.

8 Czerwca 1898 roku.

Karnawał letni zbliża się już do kresu, za parę dni ukończą go wielkie wyścigi. Nie odpowiedział on w tym roku ogólnym oczekiwaniom; przeszkadzały mu ciągłe deszcze majowe. Dwa dni kwiatowej zabawy pomyślniejsze były od innych, chłodny jednakże wiatr północny nie pozwolił Paryżankom rozwinąć całej wytworności w stroju, zmuszając je do zastąpienia lekkiej gazy jedwabiem, nawet wełną. Nigdy przecież nie widzieliśmy po magazynach takiej rozmaitości w wyrobach gazowych; z tych ukazała się tylko na kwiatowych igrzyskach ściślejsza gaza w kratę jedwabną lub w poprzeczne faliste pasy.

Co do kolorów, panował nad innymi pąsowy w różnych odcieniach, począwszy od *cerise* do *vin de Bordeaux*, lilla *mauve* w różowawym odcieniu, zielony i jasno-błękitny *bleu turquoise*. Spódnice bardzo szerokie u dołu, kończą się wolantem, nie osobnym, ale wypuszczonym od brytów — tak w tyle jak po bokach. Wolant ten przytwierdzony w górze kilkoma rzędami wązkiej atłasowej wstążeczki, namarszczonej po jednej stronie. Przód spódnicy tworzy płaski fartuszek, niekiedy otwarty z obu stron; na tym otworze idą słupki koronkowe od stanu aż do ziemi. W stanikach za to zaszła wielka zmiana, po większej części wykrojone kwadratowo do ramion, pod spód idzie szmizetka z muszlinu jedwabnego rzęsisto namarszczona. Dół stanika przymarszczony *à la vièrge*, obciśnięty paskiem spiętym na klamerkę lub kokardę. U szyi wybiega fryzka muszlinowa połączona wielkimi puklami w kształcie motyla. Stanik naszywają wstążeczką atłasową, odpowiednio do spódnicy, tak z przodu jak na plecach. Wstążeczka ta zazwyczaj czarna, niekiedy ją zastępują wąziutką aksamitką. Rękawy coraz to węższe, z płaskim epoletem zachodzą na rękę, ztąd zwane mitenkami. Rękawiczki białe upowszechniły się na lato. Widzimy ich wiele z cieniuchnych nici szkockich. Nowość tegoroczną stanowią też białe trzewiki z miękkiej skóry, z wypuszczonym na wierzch włosem, przyjęte nietylko do powozu, ale i na przechadzki. Do modnych należą także trzewiki zielone w odcieniu mchowym.

Po tych ogólnikach przytaczamy kilka całkowitych ubrań, które na zabawie kwiatowej szczególną zwróciły uwagę.

Pierwsza suknia, wykonana w pracowni p. Elizy Petit, z gładkiej materyi w kolorze morelowym. U dołu spódnicy idą dwie rusze z muszlinu jedwabnego w kolorze ciemno *mousse*. Nad tem ciągną się rzędem bukiety z liści dębowych; wyżej dana znów rusza mchowa. Stanik z czworograniastym wykrojem, naszywany fantastycznie takąż ruszą. Karczek do tego z materyi morelowej, cały przybrany liśćmi dębowymi, zarówno jak rękawy. Na ramionach epolety z takichże liści. U szyi obrożka z wywiniętą fryzką koronkową. Pasek jedwabny w kolorze mchowym, związany w tyle na małą kokardę.

Kapelusik do tego słomkowy w kolorze naturalnym, rondko okrągłe, podpięte z lewego boku pęczkiem piór mchowych, wokoło główki rusza tegoż koloru.

Druga suknia z gęstej gazy jedwabnej w kolorze złotawym, zasiana cała w rzucik z czarnych kwadracików. U dołu spódnicy rusza czarna koronkowa, nad tem druga naszyta w faliste zęby, powyżej znów dwie cokolwiek węższe rusze dane w prostym kierunku. Stanik bardzo nizko wycięty, naszyty dwa razy ruszą. Pod spód idzie szmizetka z białego muszlinu jedwabnego z obrożką u szyi. Na ramionach trzy rusze tworzą epolety, w miejscu gdzie te epolety łączą się ze stanikiem, upięte na przodzie rozety z czarnej wstążki atłasowej, od której dwa wypuszczone końce szerokie na 20 centymetrów spadają do dołu spódnicy. W stanie opasana dwa razy, takaż wstążka w odstępach zapięta z przodu na dwie złote klamerki.

Dopełniał ubrania kapelusik maleńki z czarnej słomki ażurowej. Z lewego boku na podniesieniu upięty bukiet z róż herbacianych.

Trzecia suknia jedwabna w kolorze błękitno-popielatawym. Przód spódnicy osobny tworzy fartuszek, objęty dwa razy czarną przymarszczoną wstążeczką atłasową. Tylne bryty naszyte u dołu siedmiu rzędami takiejże wstążeczki; między fartuszkiem a bocznymi brytami idą dwa słupki białe koronkowe, wązkie na ćwierć łokcia. Stanik wycięty, naszyty wstążeczką w ukośną kratę, rękawy wązkie, od góry takąż naszyte kratą. Pod spód szmizetka biała koronkowa, na ramionach odpowiednie epolety. Kapelusik do tego słomkowy w naturalnym odcieniu, przybrany bukietem z bratków i kłosów, pomięszanych z maczkami.

Czwarta suknia biała z lekkiej tkaniny *voile*; przedni bryt tworzy fartuszek. Na tylnych brytach przechodzi dwa razy rusza z materyi surah różowej, wysoko podniesiona, spuszczająca się po bokach. Stanik mocno wykrojony w chusteczkę, objęty ruszą. Pod spód dana szmizetką muszlinowa, przeszywana w drabinkę wązką różową wstążeczką.

Epolety tworzą potrójny ząb objęty ruszą; odpowiednie do tego mankiety. U szyi obrożka różowa.

Kapelusik biały tiulowy, przybrany bukietem róż, ślicznie odpowiadał całości tego letniego stroju.

Zapiszmy tu jeszcze bardzo ładne suknie malowane od ręki na gęstej gazie, organtynie, linonie, lub materyi. Nie było ich na zabawie kwiatowej, gdyż słońce kryjące się za chmury nie pozwalało na to, ale widzieliśmy piękny ich zbiór w pracowniach trzech utalentowanych Paryżanek, które przygotowywały je do stacyi morskiej w Trouville, na koncerta i zebrania wieczorne. Jedna z tych sukien zwana *moissoneuse* (żniwiarka), na gęstej gazie białej, cała zasiana bukietami kłosów, pomięszanych z kwiatami polnymi. Druga zwana *sylvestre* (leśna) na tkaninie *voile*, ma u dołu szeroki szlak z paproci i liści dębowych, cały przód namalowany odpowiednio. Na trzeciej widzimy grona porzeczek z liśćmi, koralowe czereśnie i poziomki. Szerokie pole otwiera się tu fantazyi, praca to zresztą łatwa i wcale nie kosztowna. Upowszechniona dziś nauka rysunku pozwala młodym panienkom obmyślać sobie ubiór prawdziwie oryginalny, a tem milszy, że wykonany własną ręką.

Seweryna Duchińska.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Przedstawię, i owszem, jeśli się tymczasem nie zakochasz w innej!—odparł ze śmiechem Kazio.

— Właśnie, powiedz matce, że ja mam niebezpieczny stosunek tutaj, z taką jedną, że to mnie rujnuje materyalnie i moralnie, że mnie trzeba koniecznie sprowadzić do Rudy, na opamiętanie. Mój Kazik, ty mi dopomóż! Ja, widzisz, koniecznie chcę się ożenić.

— No, to może i u panny Ireny mam ci dopomódz?

— Nie, nie, tego nie potrafisz. Tylko mi matkę przejednaj. Ja ci za to się odwdzięczę; matka bo chce cię zaraz ożenić, ja nawet wiem z kim, mówiła mi, z Marynią Broniewską. Otóż wy się tam bezemnie nie obejdziecie, boś ty do konkurów, jak wół do karety—ja ci będę swatem i bratem, zobaczysz jak nam łatwo pójdzie we dwóch. Tylko niechże mnie do Rudy puszczą przecie!

Kazio przestał pakować i stanął przerażony.

— Z Broniewską chce mnie żenić mama? A toć ona głupia jak but, nawet na pensyi nigdzie nie była, i książki u nich w domu niema na lekarstwo. Toć ona jak usta otworzy, to albo się śmieje, albo je — zresztą nic.

— Patrzajcie, to ty jednak obserwujesz! — zdziwił się Włodzio. — Matka ją wybrała, bo posag leży w gotówce, i Broniewscy nie raz matce w złych chwilach pomagali. Myślałem, że tobie tak bardzo o rozum nie chodzi.

— To możeś po sobie sądził! — obraził się Kazio. — Ja go nie mam do zbycia, i żonie nie myślę dawać. Tu się zafrasował, czoło potarł i stęknął.

— Jeśli matka tak wybiera, przyjdzie między nami do nieporozumień nielada. Oj, będę się miał, będę.

— Widzisz, właśnie tedy mnie dopomóż, będziesz miał za to we mnie potem sojusznika.

— Pewnie, ty matce stawisz czoło — właśnie! Znam cię—pierwszy z placu umkniesz.

— Słowo honoru daję, że murem za tobą stać będę, tylko mi jeszcze jedno uczyń! Dam ci list do panny Ireny.

— Terefere—na to mnie nie weźmiesz. Ona ciebie nie chce, matka cię wypędziła, ładnieś musiał nabroić, i ja mam w to wdepnąć! Masz pocztę, dam ci siedem kop. na markę.

— Tchórz jesteś, zdrajca, zaprzedaniec! Jedź ztąd, nie mam brata, nikogo na świecie!

Po jakimś czasie ostygł jednak w swej złości i nawet odprowadził brata na kolej.

Mieli dość roboty z psem i bagażami, i gdy już pociąg ruszał, Włodzio raptem przypomniał coś sobie, począł laską stukać w okno.

— Kaziu, słuchajno, miałeś mi zostawić adres Francuzki? — zawołał, gdy brat spuścił szybę.

— Na Starem Mieście, przy wodotrysku! — odparł ze śmiechem Kazio!—Powiem to pannie Irenie.

— Niech cię dyabli wezmą! Milcz! Dopomóż mi! Czekam listu! Bywaj zdrów!

Pociąg zniknął w ciemnościach nocy.

VI.

Coraz duszniej i skwarniej czyniło się w murach miejskich. Stasi zdawało się, że jest uwięziona pod ołowianym dachem, przygnębiona była, znękana, pełna rozpaczy. Nerwy jej poczęły się rozstrajać, straciła sen i apetyt, po nocach płakała czasem, w dzień snuła się apatycznie, tyle tylko mając mocy, by przed matką goryczy swej nie zdradzić.

Od kwartału zajęły mieszkanie na dole, kupiła fotel na kółkach i co dzień rano woziła matkę do Saskiego Ogrodu. Przepędzały tam godzin parę, czytywała jej głośno, byle nie rozmawiać, bo o czemżeby mówić mogła, żeby nie zdradzić swego udręczenia. Ale dnie były długie, ciężkie do przebycia z chorą, która wymagała, by się nią ciągle zajmować, grymasiła o wszystko, zasypiała późno.

Parę razy miała Stasia pokusę, napisać do sióstr, by ją przyjechały wyręczyć na czas jakiś, ale odrzucała zamiar przez dumę i zaciętość. Wolała zginąć, zmarnieć, niż prosić o pomoc.

Czuła tylko z rozpaczą, że w niej zamiera siła i energia, wiara w siebie, nawet pamięć nauki. Rzucała się niekiedy do swych notatek i książek, i ręce jej opadały — po co? wszystko się przecie skończyło, nie było ju przed nią karyery i tryumfu.

Ozierska egoizmem, właściwym chorym, utrudniała jej jeszcze życie. Narzekała na jej małomówność, na nudę w domu, wypominała jej roztargnienie, jej zaniedbane toalety, jej nietowarzyskość. Żeby miała przy sobie inną młodą panienkę, nie takiego cudaka, toby i ludzie więcej bywali, i w domu byłoby gwarniej i weselej.

Podobne uwagi słyszała Stasia codzień, wraz z tęsknotą do tamtych córek, które, że dalekie, były dla Ozierskiej ideałem.

Stasi nieraz przychodziły na usta ostre słowa, ale spojrzawszy na bezwładne nogi matki milczała, tylko obowiązek nieosłodzony uznaniem, dobrem słowem, poczynał ją przygniatać, tracić cechę bohaterstwa; ciężył i dolegał.

Od wyjazdu Kazia upłynęło dwa miesiące bez żadnej wieści. Gdy o nim pomyślała Stasia, to się gniewała na siebie, bo jej było smutno. Żal jej było, że i on o niej snadź zapomniał, i ten żal, zakrawający na słabość, na uczucie, właśnie ją gniewał.

Raz odwiedził ich Włodzio i niefortunnie dotknął tej bolączki, bo spytał:

— Pani pewnie ma wieści z Rudy! Co tam słychać? bo do mnie Kazio nie raczy pisać.

Stasia posępna i mrukliwa, ruszyła ramionami.

— A mnie co to obchodzi. Żadnych korespondencyi nie prowadzę, anim ciekawa, co tam się dzieje.

— Ależ kolega wibrujący! — zaśmiał się Włodzio.

— Prawda! — podchwyciła Ozierska. — Ona jest tak ciągle rozdrażniona i szorstka. To korzyść z tylu lat swobody studenckiej i obcowania z Bóg wie kim. Ona już nie potrafi zadać sobie najmniejszego przymusu.

Włodzio dostrzegł nerwowe drżenie szczęk dziewczyny, i jak był poczciwy, zaraz uchwycił położenie rzeczy i pożałował żartu.

— Ale panna Stasia źle wygląda, schudła i zmizerniała. Niech pani się strzeże choroby!—rzekł pod adresem Ozierskiej.

— Co pan mówi. Zkądże! Żyjemy tak spokojnie i regularnie. To chyba z upałów.

— Może być, ale mi się wygląd panny Stasi nie podoba. Wygląda przeforsowana, a organizm ma już naderwany, więc trzeba go oszczędzać.

Zaczął mówić o czem innem, ale dopiął celu, zaniepokoił Ozierską, zapewnił Stasi trochę spokoju i troskliwości.

Matka przestała na nią gderać, owszem zrobiła się sama mniej wymagającą i łagodniejszą.

Była to zawsze ulga.

W parę dni potem spotkała ich niespodzianka. Stasia odwiozła matkę z Saskiego Ogrodu, i właśnie zasiadała do czytania jej dawno rozpoczętej powieści, gdy zadzwoniono do drzwi, bardzo energicznie.

Otworzyła i skamieniała ze zdumienia. Przed nią stała pani Taida Skarszewska.

Rzadko kto widział taki uśmiech Stasi i taki ton serdeczny, ciepły.

— To pani. To pani!—zawołała.

— Ano ja! Ledwiem was odnalazła. Mogłaś przecie napisać, że zmieniacie mieszkanie. Dwie godziny wożą mnie po Warszawie z waszej racyi.

— Żebym przypuszczała, że pani przyjedzie.

— W same żniwa! W same żniwa!—stęknęła pani Taida. Ano, różnie się zdarza. Gdzież matka? Ozierska wołała z salonu i witała ją łzami i narzekaniem.

— Mój Boże, oto jak się spotykamy. Patrz moja droga, na pół w grobie jestem, bez ruchu. I Adolfa niema! Żebym mogła umrzeć, to jedyne moje marzenie.

— Nie bluźnij, ani z Bogiem się spieraj. Pewnie—ciężko cię dotknął, ale ci narzekanie nie ulży, owszem obciąży niedolę. Tu, na ziemi każdy cierpi. Pamiętasz jakeście z mężem do mnie przyjechali, gdym owdowiała w dwudziestym trzecim roku życia. Włodzio ledwie pełzał, Kazio jeszcze się był nie urodził, a wkoło mnie ruina, a w duszy taka rozpacz i pustka, żem także tylko śmierci wołała. Mąż twój interesami się zaraz zajął, i chociaż chaos ten przejrzał i obrachował; na twoich rękach Kazio się urodził, potem Dysia przyjechała, i życie się przepracowało jakoś. Nie można nam o sobie myśleć, gdy się dzieci ma, ani rozpaczać i śmierci wołać, gdy zostały obowiązki do spełnienia. Ot, ja tu przyjechałam z prośbą do ciebie. Chciałabym cię do Rudy namówić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Juliusz Lemaitre o feminizmie.

Ceniony powszechnie akademik francuzki opublikował świeżo zapatrywania swoje na znaczenie, rozwój dzisiejszy, i przyszłość niewieściego ruchu. Bez uciekania się do rozróżnień, nazywa on całą wogóle dążność kobiety do równouprawnienia społecznego i politycznego, feminizmem, rozpatruje słuszność zapatrywań tej grupy i szanse powodzenia, jakie widzi przed tym kierunkiem. Zastrzega Lemaitre z góry, że nie wiele nowego będzie miał w tej sprawie do powiedzenia, a to ze względu, że i feminizm w motywach i wnioskach swoich także w dalszym ciągu nic nieznanego nie wypowiada—owszem stoi przy swojem i żąda tego, o co się upominał od początku. W każdym razie szukając definicyi, powiada, że jest to idea która budzi interes, ale która w osnowie swojej jest nieco mętną. Dotąd niezmiennie wychodzi kobieta z założenia, że mężczyzna był i jest silniejszym, i że prawa nie kto inny pisał tylko on. Idzie tedy o różne restytucye w imię sprawiedliwości.

Co do tych ostatnich radzi Lemaitre nie spuszczać z uwagi dwóch względów:

1-o) Że istotnie zrobić należy dla kobiety, to, czego wymaga słuszność.

2-o) Że przedsiębiorąc reformy, nie może prawodawca zapomnieć o tem, iż iść przeciw naturze nie wolno zupełnie w tej sprawie.

Tymczasem feministkom w ścisłem znaczeniu tego słowa, tym mianowicie, które dużo mówią o niezależności swego umysłu, które wierzą w obserwacyę i eksperyment jedynie, które zawsze powołują się na Darwina i Comte'a, i nigdy nie pozwoliłyby sobie powiedzieć, że nie wychodzą z założeń czysto naukowych—że tym wszystkim kobietom idzie o dokazanie rzeczy bezwarunkowo niemożebnej, to jest o zrobienie z istoty kobiecej istoty męzkiej. Gdyby im szło o to, aby jedna w prawach była równą drugiej, słuszność byłaby przy nich, ponieważ żądają, aby była tem samem, żądają więc niepodobieństwa.

Jakoż na nic zupełnie przydać się może pisanie takich praw, dzięki którym kobieta stanąć będzie musiała do konkursu z mężczyzną i gdzie od niej zażądają muskulatury męzkiej i równej z mężczyzną sprawności, tam gdzie idzie o siłę fizyczną; na nic nie przydadzą się jej przywileje oparte na zwalczeniu stopnia wrażliwości wynikającego bezpośrednio z jej ustroju — nie skorzysta też ona w tym stopniu, jak mniema, ze swojej siły intellektualnej, bo ta gdy idzie o twórczość, dotąd przynajmniej, okazywała się stale niższą od męzkiej. Żadne nowe paragrafy nowych kodeksów nie wyswobodzą kobiety od cierpień i więzów, na które ją skazało prawo stworzenia, podobnie jak bezużytecznymi zupełnie byłyby nakazy, zmuszające mężczyznę do karmienia niemowląt i podejmowania robót z właściwością jego ustroju sprzecznych.

Przypuściwszy nawet, że osiągnęłaby kobieta wszystkie marzone przez siebie prawa społeczne i polityczne, to jednakże ta tożsamość praw nie mogłaby wcale wywołać u niej jeszcze tożsamości w funkcyach, bo tej sprawności odmówiła jej przyroda. Właśnie też ze względu na to, co się w istocie kobiety odmienić nie da, takie bezwzględne zrównanie wyszłoby jej na szkodę zamiast przynieść pożytek. Chwila, w której mężczyznę rozgrzeszyłyby prawa ze skrupułów silniejszego względem słabszej, chwila taka byłaby niczem innem tylko rozpętaniem całej brutalności mężczyzny, a wtedy nie mogłoby już być mowy o wątpliwościach, po której stronie będzie zwycięztwo.

Gdyby kobieta nie patrzyła oczyma uprzedzonemi, sama przyznałaby z pewnością, że ile razy staje w życiu do zadań czysto męzkich, tyle razy kwalifikacya jej okazuje się niższą. Gdyby chciała pomyśleć o tym podziale zrobionym przez Pascala—o sile materyalnej, umysłowej i o dziale miłosierdzia, wnet przekonałby się musiała, że są jednak atrybucye, których jej nigdy mężczyzna wydrzeć nie zdoła, a te jej funkcye wyłączne są same przez się tak wysokiego porządku, że ich obyczaj dotychczasowy z pewnością mniej godnym rękom i mniej podniosłym duchom powierzyć nie chciał.

A więc są wyłączne zadania, są odrębne przeznaczenia, i walka o zrównanie zadań i o tę tożsamość funkcyi, jest walką zdaniem Lemaitre'a zupełnie bezużyteczną.

Ci którzy najwyżej stawiają kobietę, nie są bynajmniej stronnikami feminizmu, tak jak go rozumieją same twórczynie kwestyi. Owszem wszyscy oni pragnęli i pragną tylko, aby kobieta zachowała indywidualną odrębność swoją. Nie idąc zupełnie za zapatrywaniami Micheleta, powołuje się i na niego autor, gdy przytacza charakterystyczną jego opinię. Michelet pragnie widzieć kobietę w tym stopniu równą mężczyźnie, w jakim jest ona od niego różną. Jej dusza, powiada on, jej umysł — istota cała, muszą być w harmonii ścisłej z jej płcią. Cytuje też słowa tego entuzyastycznego czciciela kobiecości: kto będzie miał odwagę, pyta Michelet, dyskutować nad tem, czy ona jest wyższą albo niższą od mężczyzny. Ona jest i będzie tem, czem jest dla człowieka niebo—będzie pod nim i nad nim. Poczęliśmy się z niej — w niej i dla niej żyjemy—oddychamy jej natchnieniem; ona jest atmosferą i pierwiastkiem naszego ducha.

Tak przemawiają entuzyaści, którym zarzucić można wiele, tylko nigdy nie wolno im powiedzieć, że radziby kobietę poniżyć i upośledzić, jeśli zaś idzie o to, jak rozumują umysły pozytywne, to powróćmy do Juliusza Lemaitre'a.

Najlepszym środkiem dla kobiety, aby się mogła utrzymać przy swojej godności i zdobyć stanowisko pożądane, jest nie chcieć nigdy przebierać się za mężczyznę, bo to do niczego doprowadzić nie może. Jeśli kobieta uważa że zbyt mało robi dla społeczności — niechaj robi więcej, ale niech nie szuka drogoskazów, ani u podszeptów miłości własnej, ani u kaprysu chwili, natomiast niechaj się przejmie błogosławieństwami, do których jest powołaną, niech się zdobywa na ofiary i poświęcenia, i niechaj umiłuje związane z przeznaczeniem swojem obowiązki.

Za mąż, jeżeli może, niech wychodzi wcześnie, niech pogardzi życiem lekkiem kobiet zbytkujących, światowych, niechaj będzie karmicielką i wychowawczynią rozumną a niestrudzoną dzieci własnych, i niechaj dobrze stara się pojąć, co to znaczy kochać dzieci, dla nich, a nie dla siebie samej. Tym sposobem zdobędzie i szacunek ludzki i stanowisko w świecie, i miłość męża, i wdzięczność dzieci—zdobędzie stokroć więcej z pewnością, niż jej przyobiecać mogą wszystkie zreformowane kodeksy, i wszystkie nawet na jej korzyść uchwalone prawa wyjątkowe.

Jest bardzo naturalnem i prostem, że to co kobieta winna zrobić dla siebie samej, niezależnem jest zupełnie od tego, co dla niej obowiązana jest zrobić ludzkość. Jeśli stwierdzamy zasadę, że nie należy jej stawać w sprzeczności z naturą, głosimy jednocześnie, że nie wolno jest światu odnośnie do niej iść wbrew sprawiedliwości. Jeżeli stoimy niezachwianie przy swojem, i utrzymujemy, iż bezwzględne zrównanie w prawach z mężczyzną nieuchronnie wyjśćby musiało kobiecie na złe, i pogorszyć jej położenie, nie idzie za tem, żebyśmy mieli kwestyonować konieczność zadosyćuczynienia, jakie winna kobiecie społeczność dzisiejsza. Ponieważ obmierzłe obyczaje naszego wieku, nasza cześć dla pieniądza, i nasz egoizm zostawia wielką część kobiet poza małżeństwem, rzeczą naszą jest ułatwiać istnienie tym, które bytują samotnie. Do nas należy dać skrzywdzonym prawa, któreby im w części przynajmniej zastąpiły to, coby im dać mogła rodzina. Sprawiedliwość nakazuje otworzyć kobiecie dostęp do wszelkich professyi wolnych, dotąd wyłącznie przez mężczyzn spełnianych, i postawić pracodawców w konieczności równego jej wynagrodzenia za równe usługi.

Nadto w naszej, mówi Lemaitre, dwudziestopięcioletniej respublice doczekaliśmy się nareszcie zjednoczonych usiłowań w celu ure-

gulowania stanowiska prawnego kobiety. Nasi legiści wypracowali trzy punkta zasadnicze reformy tego stosunku, które są słusznem, wedle ogólnego mniemania, zadosyćuczynieniem — o innych zastrzegamy sobie wzmianki w czasie właściwym. Oto owe trzy artykuły.

1-o) Przypuszczenie kobiety do komissyi i rad zarządzających instytucyi prywatnych i publicznych zakładów—szkolnych i dobroczynnych.

2-o) Przyznanie kobiecie prawa stawania w charakterze świadka przy aktach notaryalnych i spisywaniu dokumentów stanu cywilnego.

3-o) Zmienienie na korzyść kobiety nie liczącej skończonych lat 15 jednego z artykułów kodeksu karnego.

Jak powiedzieliśmy wyżej, i jak przyznaje sam autor, którego poglądy na kwestyę kobiecą, a raczej jak on nazywa, na feminizm, streszczamy w tem sprawozdaniu, niema tu nic nowego. Umieszczamy je zaś tutaj ze względu, że niedawno mówiąc o reformach spełniających się we Francyi na rzecz kobiet, staraliśmy się przedstawić, opierając na źródłach, co o nich trzyma kobieta sama. Nadto nie przypuszczamy, żeby znalazły się tak krańcowych zapatrywań niewiasty, któreby mężczyznom udziału w reformie regulującej na przyszłość te stosunki odmówić myślały, bo wtedy byłoby to już czemś więcej jak zrównaniem w prawach, to, o co one wojują z takiem męztwem. Nakoniec nie uważamy za zbyteczne dopuszczenie do głosu w tej sprawie ludzi wybitniejszych w nauce—choćby takich jak naprzykład Juliusz Lemaitre członków akademii francuzkiej, bo jużciż to przyzna każdy, że w podniesionym o prawa kobiety sporze, więcej słychać głosów namiętności, niż wskazań rozwagi i nauki. A to jednak, ta sól świata, ta wiedza, nie może tak abdykować i tak z rezygnacyą zostawać na uboczu, gdy się rozwiązują najważniejsze zagadnienia wieku.

A. S.

Sprawozdania literackie.

Marya Zabojecka: Dusza. — Teodor Szabłowski: Emancypantki warszawskie.

„...A ponieważ duszy ludzkiej połowa jest zawsze wygnanką, błądzącą po dalekiej krainie... więc marzyłem o innym, innym, nie wiem, jakim kraju, w którym miało być szczęście.”

Ta cytata z Pawła Arène położona na czele małej książeczki, choć dewizą ma być pierwszego tylko fragmentu, charakteryzuje doskonale całość, objaśnia nas do pewnego stopnia o duszy samej autorki, pozwala domyślać się, z jakich pierwiastków powstała przędza pierwszych jej utworów.

Marya Zabojecka ukazała się, o ile wiemy po raz pierwszy na tej, t. zw. u nas arenie literackiej, która bywa częstokroć areną bardzo mizernych, i nic wspólnego z duszą nie mających zapasów.

Na arenę tę przyniosła ona ze sobą biały, wonny kwiat, wytwór duchowej organizacyi swojej, kwiat wyrosły w nocy naszych czasów, pod bladymi promieniami miesiąca, i jakby wskroś mistycznem jego światłem przepojony.

Myślę, że urzędowi sędziowie areny odłożą go na bok, nie zwróciwszy nań uwagi, lub z pretorską powagą kilka wyrocznych słów nad nim wyrzeką, a zwycięstwo, jak zwykle, jakiemuś słonecznikowi przysądzą.

Mniejsza jednak o to!

Kwiaty ducha nie więdną pod tchnieniem starców, i obojętny wzrok, padając na nie, wdzięku ich nie gasi.

Książeczka Maryi Zabojeckiej z sześciu składa się urywków. Oto ich tytuły: „Firenze,” „Kilka kartek z dziennika,” „Dusza,” „Bajka,“ „Co mówi cisza?“ „Święto serca.”

W pierwszym znajdujemy opowieść o losach cudownie pięknego chłopięcia z Florencyi, które bogaty pan zabrał na wychowanie, i uczyć kazał. Ale Philippo tęsknił za Firenze, za tą ziemią, na której, wedle podania, wygnani z raju rodzice ludzkości zasadzili zabraną ze sobą gałązkę oliwną, i rzekli, że póki ona rość będzie, będzie rosła tęsknota stworzenia ludzkiego za szczęściem i za ziemią, w której ono po raz drugi dla nich zakwitło. I pisał Philippo do matki: „Czasem zdaje mi się, że gdybym zobaczył Firenze, ciebie, Lucię, nasze słońce i nasze niebo, byłoby mi lepiej, może dobrze zupełnie... A czasem znowu myślę, że tęsknię za czemś, czegom nigdy widział: za ziemią, która nie ma nazwy, za ciszą, która nie jest ciszą naszych nocy letnich, za śmiechem, w którym niema codziennej radości, za snem, który dalszym jest od jawy, niż ja od ciebie, matko! I zdaje mi się, że wszystko to, ku czemu biegnie tęsknota duszy mojej, byłoby dla mnie owem Firenze pierwszych rodziców naszych, owem Firenze, w którem dla nich zakwitło szczęście. Może każdy człowiek ma takie Firenze...”

Chłopię umiera, a myśl jego w ostatnich chwilach oplata się koło przepowiedni świętego mistyka:

„Było posłuszeństwo, była niewola synowska—będzie swoboda.”

„Były gwiazdy, była jutrznia — będzie słońce.”

„Była trwoga, była wiara—będzie miłość.”

„Były pokrzywy, były róże - będą lilie..”

„Kartka z pamiętnika“ jest bardzo szczerym, pełnym łez i łkań okrzykiem duszy kobiecej.

Kochała go, ale po swojemu; tak jak on żądał, kochać nie umiała. On mówił do niej: „Ideałem moim jesteś ty — celem mego bytu jesteś ty — świat jest tylko miejscem, jest tłem, z którego wychyla ku mnie główkę mój, mój kwiat. Poza tobą jest formą, ideą, martwem wyobrażeniem o pięknie nieustającem... My dwoje będziemy i miłość! Niech ginie świat!.. zazdrosny jestem o książkę, którą czytasz, o człowieka któremu się uśmiechasz, o ziemię, po której chodzisz, o myśl poza mnie biegnącą...“ Ona bała się takiej miłości, bała się, że w niej poczernieją ich dusze. Ona oddawna marzyła o innej, o miłości, która „z dwóch serc własnem życiem tętniących rozsyła promienie ku ciemniom.“ A on z miłości takiej śmiał się. „A jednak miłość ta cicha jest — niczego nie zgłusza, dobra jest—niczego nie niszczy; bogata jest, bo dużo stwarza, i rzadka jest, bo jej prawie niema...“ Więc kiedy wołał ją do siebie, ona została, została z bólem niezmiernym i łkaniem. Na taką miłość było już dla niej zapóźno. Może gdyby był przyszedł wcześniej, byłby ją uniósł i „leciał z nią przez życie, ak huragan leci przez bór z gałęzią zerwaną...“ Ale ona głęboko wrosła już w ziemię swoją, już tyle marzyła, tyle myślała, tak wiele kochała dokoła! Więc pozostała ze skargą na ustach. „Nie dla mnie już loty miłości... Nie dla mnie te bzy białe i purpurowe róże, nie dla mnie szalejące tony twoich pieśni, nie dla mnie słowa rozpalone jak zorza i odurzające wszystką wonią wiosny... Jesień, drogi mój, jesień... Zapóźno... Tylko weź mi z serca ten żal, ten okropny niemilknący żal...

O kochany, kochany!“

Motyw to bardzo bogaty, motyw, z którego dałby się wysnuć cały romans o zupełnie nowożytnym charakterze. Dusza kobiety, ten niby nieodgadniony sfinks wychyla się tutaj z poza zasłony, której powieściopisarze dotąd podnieść nie śmieli, nie chcieli czy nie umieli.

A przytem tyle tu prawdy, tyle szczerego, serdecznego bólu.

„Dusza,“ to historya człowieka, który chodził po świecie i szukał *duszy*, i pragnął, by przemówiła do niego, sądząc, że mowa jej rozkoszniejszą być musi od muzyki i od wszelkich dźwięków słyszanych na ziemi.

Chodził i szukał. Czasem zdawało mu się, że słyszy ją w szumie borów, w szmerze strumieni, chwilami wyjrzała na niego z oczu człowieka, lecz jej samej, całej, wielkiej, nie było nigdzie. Aż przed samą śmiercią ukazała mu się, gdy na grobowcu cmentarnym już siedział. Ale kiedy nawpół nieprzytomny z radości, zachwytu i zdumienia przypadł do upragnionych, ukochanych stóp i błagał: mów! mów! — ona „wskazała smutnym ruchem na zamknięte usta, zdjęła z głowy wieniec przylaszczek i włożywszy mu go na skronie, znikła.

Była niema...”

Znać tutaj wpływ Maeterlincka, a zwłaszcza fragmentu p. t. „Silence“ (Milczenie). To samo powiedzieć można i o innym urywku zatytułowanym „Co mówi cisza?”

Wogóle wpływ współczesnej mistyki zachodniej bardzo wyraźnie odbija się na całym zbiorku Zabojeckiej, nie tłumiąc jednak bynajmniej, nie zacierając indywidualnych rysów jej talentu, któremu ośmielamy się wróżyć niepospolitą przyszłość.

Młoda autorka posiada duszę pełną tęsknot zaświatowych, wrażliwą, zdolną do odczucia wszelkiego bólu i do wyrażenia go; posiada dar słowa, które płynie u niej potokiem melodyi cichej, łagodnej, smętnej. Umie w duszy ludzkiej odszukać półtony i półcienie. Obok siły uczucia posiada umysł subtelny i lotny, fantazyę bogatą. Jest poetką piszącą dotąd piękną, poetyczną prozą. Może z czasem i rymy wypłyną z pod jej pióra.

Coraz częściej powtarza się w Warszawie niemiłe zjawisko, książka, której bohaterów pokazywać można na ulicach, w salonach

i t. d. Książka taka zazwyczaj ma znaczny odbyt w pierwszych chwilach po ukazaniu się. Ludzie ciekawi są, w jakiem świetle wystawiono ich znajomych, przyjaciół lub przeciwników, pragną poznać jaknajprędzej tę drukowaną plotkę. Żaden jednak autor szanujący swą godność, drogą tą chwilowej popularności nabywać nie zechce. Jest coś nizkiego, niegodnego poważnego pisarza w takiem nicowaniu kolegów, znajomych, współzawodników, tembardziej, że zazwyczaj autor takiej książki w jadzie osobistych niechęci, lub uraz macza pióro.

Do książek takich należą „Emancypantki Warszawskie" Szabłowskiego.

Tutaj gorycz całą zwrócił autor przeciw t. zw. przez siebie emancypantkom.

Zaznaczyć jednak należy, że o ile występujące w jego powieści postacie męzkie znane są całemu światu literackiemu Warszawy, i każdy pod przejrzystymi ich pseudonymami, odgadnie z łatwością tego lub tamtego literata, poetę, malarza, o tyle emancypantek odurzających się wódką i piwem, aż do ataków epileptycznych, i zawiązujących stowarzyszenia w tym rodzaju, jak przedstawiono w powieści, nikt z nas podobno nie zna.

Poza tem fałszywem świadectwem złożonem przeciwko bliźniemu, są w książce p. Szabłowskiego niektóre rzeczy dosyć udatne i poglądy słuszne, choć nie nowe. Gdy mówi np. o braku szczerych i silnych przekonań wśród intelligencyi warszawskiej, o wybujałym egotyzmie przeważnej części ludzi piszących, przyznajemy mu zupełną słuszność.

H. C.

Kobieta i studya uniwersyteckie.

Na żądanie parlamentu angielskiego rozesłany został kwestyonaryusz do wszystkich znanych uniwersytetów starego i nowego świata wraz z prośbą o wypełnienie odpowiedzi na cztery poniżej, dosłownie przez nas powtórzone pytania, a mianowicie:

1-o) Czy kobieta ma dostęp do uniwersytetu?

2-o) Czy korzysta ze wszystkich praw, przysługujących słuchaczom męzkim, a jeśli nie, to jakich mianowicie jest pozbawioną?

3) Czy mają wstęp kobiety na kursa? Czy przyjmują udział w egzaminach?

4-o) Czy udzielane są kobiecie wszystkie dyplomy naukowe. albo w braku tychże certyfikaty, któreby zastępowały ich miejsce?

Na 162 uniwersytetów zapytanych, 139 dało odpowiedź, i z tych ułożono na użytek parlamentu angielskiego memoryał, z którego okazuje się:

W uniwersytetach francuzkich przyjmowaną jest kobieta na tych samych warunkach co i mężczyzna; korzysta ona z wykładów — zdaje egzamina—otrzymuje dyplomy.

Tak samo jest: w Belgii, Hollandyi, Danii, Norwegii, Szwajcaryi, Włoszech, Grecyi i Rumunii.

Uniwersytet szwedzki różni się od poprzednich tem jedynie, że ma tutaj kobieta odmówione dyplomy z prawa i z teologii.

W Hiszpanii znajdujemy pod względem uniwersyteckiego wykształcenia kobiety wielką rozmaitość, którą z ogólno-państwowego stanowiska możnaby nazwać niekonsekwencyą. I tak: Barcellona przyjmuje kobiety bez żadnych ograniczeń. Grenada ma w ustawach swego uniwersytetu artykuł wyraźny, który pozwala jednej kobiecie na prawach studentki, a jednej w charakterze wolnej słuchaczki uczyć się... farmacyi — nadto nic, i przy tem zastrzeżeniu pozostał ten uniwersytet. Wszechnica w Salamance dała jedną z tych bałamutnych odpowiedzi, w której widać, że chciano tam Bogu zapalić dwie świeczki, ale przez ostrożność pozostawiono jedną mniejszą dla dyabła. I tak na pierwsze pytanie dał sekretaryat odpowiedź, w której jasno i wyraźnie powiedziano, że kobieta ma prawo wstępować na uniwersytet w charakterze słuchaczki, ale dodaje zarazem, że nie może ona być członkiem żadnego kollegium, i że na kursa uczęszczać jej nie wolno. A jeszcze raz coś w tym rodzaju: do egzaminu stawać jej wolno, i dyplom otrzymać może, ale będzie to dyplom tylko honorowy, i ten nie posłuży jej do spełniania jakiejkolwiek z funkcyj, do których on upoważnia mężczyznę.

To podwójne zapatrywanie się na słuszność i prawo, a raczej ten brak sprawiedliwości wyraźny, pozwala w tem miejscu wspomnieć Niemcy i Austryę, jakkolwiek w tych ostatnich szczerzej sobie nieco postąpiono z kobietą. Powiedziano jej poprostu: nie! ona wie o tem, i ta która pragnie wyższego wykształcenia specyalnego, przygotowana jest na to, że go szukać musi u obcych, i że ją za powrotem do kraju tysiące trudności oczekują, które będzie musiała w drodze wyjątkowej przezwyciężać.

Nie wchodzimy w pobudki i w racye stanu, bo każde państwo ma zupełne prawo rozporządzać się w domu własnym, jak jego wola, ale jasne postawienie kwestyi zawsze lepszem jest od bałamutnej dwuznaczności.

W większej części uniwersytetów niemieckich, rektor i kurator mają prawo pozwolić kobiecie słuchać niektórych wykładów, w każdym razie za przyzwoleniem właściwego profesora przedmiotu, ale egzamin wzbroniony jest wszędzie z wyjątkiem Gethyngi i Hejdelberga. W Berlinie przez starania może uzyskać kobieta zaświadczenie, że słuchała takiego a takiego przedmiotu.

W Austryi nie wolno kobiecie zapisywać się; nie ma ona prawa zdawać egzaminów, a tem samem otrzymywać dyplomów, ale niby same wykłady pod pewnymi warunkami a zawsze za zgodą wykładających, nie są zaprzeczone wprost. Następstwa takiej polityki znane są zresztą i obgadane.

A teraz uniwersytety angielskie i amerykańskie.

Anglia wraz z kolonjami ma uniwersytetów 28. Stany Zjednoczone liczą ich 32. Z tej i z tamtej strony Atlantyku niezależnie od całkowitego uniwersyteckiego równouprawnienia, mają jeszcze kobiety, dzięki inicyatywie własnej i hojności stowarzyszeń, poustanawiane przy każdej wszechnicy osobne kollegia swoje specyalne a wyłączne, gdzie korzystać mogą z bibliotek, z różnego rodzaju udogodnień i ułatwień pracy, wreszcie z życia wygodnego, co wszystko razem wzięte stanowi odrębny zupełnie charakter odbijający się na dzisiejszem życiu społecznem ras anglo saksońskich.

W uniwersytecie Oxfordzkim cztery kollegia specyalne przyjmują kobiety pragnące uniwersyteckiego wykształcenia. Osobne zupełnie stowarzyszenie dla popierania oświaty kobiecej w Oxford zapewnia tutejszym słuchaczkom ułatwienia wszelkie i wyrabia prawa studentek zwyczajnych. Tak samo jest w Cambridge, gdzie dwa specyalne kollegia kobiece Girton i Newnham korzystają z wielkiej liczby słuchaczek; podobnie w Manchester, Liverpool, Leeds, których połączone kollegia tworzą Victoria-Uniwersity, to samo Edimburg, St. Andrews i t. d. Wszędzie nie znają tam żadnych różnic między studentem i żeńskiemi słuchaczkami. Te ostatnie nawet robią starania o pomieszczenie w specyalnych bursach, z wyjątkiem jednego tylko fakultetu teologicznego, który Anglia radaby mieć zachowany wyłącznie dla męzkiej połowy dzieci swoich.

To co spotykamy w Metropolii, to wszystko istnieje i w koloniach angielskich. Tu i tam jednakie prawa, tu i tam znać, że postępowym zapatrywaniom sfer rządzących dopomaga gotowość prywatna przychodząca w pomoc kobiecie i zachęcająca ją do studyów poważnych.

Co do Ameryki, to możemy powiedzieć tutaj, że raport doręczony parlamentowi angielskiemu, zgadza się, w szczegółach nawet, z tem co czytelniczki nasze z rozmaitych źródeł miały już sobie wielokrotnie przedstawianem. Niema już prawie uniwersytetu w Ameryce, któryby nie miał swojego „Womens College," albo przynajmniej jakiegoś osobnego pawilonu przeznaczonego na użytek kobiet.

Winniśmy tutaj dodać, że odpowiedzi wszystkich prawie uniwersytetów oświadczyły się za nauczaniem wspólnem. Utrzymują powszechnie, że uniwersytet nie może być pod tym względem traktowany jak szkoła, że doświadczenie przemawia stanowczo za nauczaniem wspólnem, i że ono jako zasada wyszło już z epoki prób i doświadczeń. Amerykanie mówiąc o bezwzględności swojego równouprawnienia, zaznaczają, że jedno jedyne wyłączenie stanowi u nich pozostawienie kobiety na zewnątrz organizacyi militarnej uniwersyteckiej.

Tak tedy stoi w świecie cywilizowanym sprawa oświaty kobiecej. Jeśli przyczyną, która wywołała dzisiejsze, bądź co bądź niezaprzeczone, obniżenie się etycznego poziomu społeczeństw, dzisiejszą zatratę powszechną ideału, cześć dla bogactw, żądzę użycia, a w summie brak szczęścia człowieka, jego zwątpienia i rozpacze wszystkie—jeśli powiadamy, źródłem tych wszystkich niedoli współczesnych był brak uniwersyteckiego wykształcenia kobiety, to znaczyłoby, że jesteśmy na najlepszej drodze, i że maluczko, a ujrzymy ziszczenie tego wszystkiego, do czego wzdychamy i czego poszukujemy. W takim też wypadku musiałoby się okazać, że te społeczności, które najwcześniej zaczę-

ły i najdalej zaszły na tej drodze, najbliższemi są wielkiego dnia odrodzenia.

Kto dożyje ten zobaczy, a tymczasem błogosławionymi są ci, którzy nie zobaczywszy uwierzyli.

A. S.

Juliusz Zeyer.

Zdrada w domu Han.

Legenda Chińska.

Przełożył z oryginału

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

— Pozbędę się pysznej tej kobiety, na którą zatem ani jedno spojrzenie pana mego nie padnie—zawołał z radością Kutaju przeczytawszy rozkaz cesarski. — Będziesz pod żółtymi obłokami pyłu wznoszącego się nad puszczą — dodał ze złym uśmiechem — śniła i marzyła dalej, o piękna Czaokiun, przy wtórze rżących koni tatarskich.

Tak bluźnił jeszcze niewierny Kutaju, i nie zwlekając spełnił rozkaz pana swego.

* * *

Pod cieniem jęczących sosen stoi naprzeciwko namiotu cesarskiego namiot drugi. Za purpurowemi oponami, podzwaniającemi za każdym wiatru powiewem wielkiemi jak żołędzie perłami, stoi Czaokiun, którą młode niewolnice w szaty stroją weselne.

Z przeciwnego namiotu z białego jedwabiu leje się długi potok złota, walą się wodospady drogich kamieni, tryskają powodzie ciężkich materyi jedwabnych, wzbija się zawierucha pawich piór: to orszak cesarza Juenti. Noga jego kroczy po kobiercach miększych i barwistszych niż bogactwo kwitnących ogrodów; wachlarze z piór bażancich, wiejące nad jego głową, podobne są wyzłoconym chmurom, zlatującym się na zachodzie wokół gorejącego słońca, któremu podobna jest majestatyczna twarz jego; złoty jego pancerz, usiany szafirami, błyszczy jak ogniste ciało smoka wynurzającego się z wód lazurowych. Teraz kroczy ku wysokiemu tronowi ocienionemu baldachimem, jakgdyby z promieni utkanym, krzesło jego z biało i czarno pręgowanego onyksu, ma kształt zwiniętej, wygrzewającej się na słońcu żmii, o ciele tak przejrzystem i połyskliwem, jak lód na wierzchołkach gór. Oparcie tworzy wachlarzowaty ogon z fiołkowych ametystów, a podparcia boczne dwie rubinowe głowy żmii ze złotymi językami. Tron wystrzela jakby z morza kwiatów nasypanych dokoła i szlących ku niebu mrące swe wonie, niby westchnienie ostatnie. Tło stanowi ciemna ściana sosen, za któremi wzbija się teraz żółty pył pustyni — zastępy rękonośnych nieprzyjaciół na czarnych koniach zbliżają się. Już wysypują się z lasu jako niepoliczone kruków szyki, a na czele ich, na pysznym rumaku, którego długa, biała, jedwabista grzywa, przepleciona sznurami pereł, aż do ziemi spływa, jedzie, sława swego ludu, zwycięzca Hanczenju z oczyma gorejącemi jak wilcze źrenice, z twarzą wyżółkłą jak zwiędły liść brzozowy, w szacie czerwonej jak krew, a migoczącej złotem jak rzeka w słońcu. Jak grzmot wielkich chmur tętniły kopyta tatarskich koni, jak pożar świeciły ich zbroje, jak rwąca rzeka huczały twarde ich głosy. Drzewa lasu drżały, a wojownicy chińscy zajękli głośno, jak rozpaczający tabun rumaków, napadnięty śród ciemnej nocy przez niezmierne hufy zgłodniałych wilków. Blady jak widmo zasiadł Juenti na swym tronie, a Hanczenju zeskoczył z konia i żywo zbliżył się do cesarza.

Juenti podniósł drżącą ręką berło z białego i zielonego chalcedonu, i dał znak skinieniem. Purpurowe opony namiotu, gdzie dotąd ukryta była Czaokiun, rozsunęły się, jak potężne rozsuwają się płomienie, gdy wicher w nie zadmie. Jak rzeka kwiecia rozlał się teraz tłum dziew z namiotu, kierując się ku skrajowi lasu. Dwunastu mężów w powłóczystych szatach z żółtego jedwabiu niosło palankin ze słoniowej kości, wykładany srebrem, wysadzany turkusami, zdobny różowawem pierzem pelikanów. Na nim nawpół leżała, nawpół siedziała oblubienica, osłonięta gęstym białym zawojem, podobnym opalowej mgle, przez którą barwiste szaty dziewczęcia jako w rannem świeciły słońcu. Tłum dziew uszykował się pod drzewami, trzymały w ręku gorejące świece z barwionego wosku i wydały okrzyk radości, gdy palankin do tronu się zbliżył. Pieśń ich płynąca z pod ciemnych sosen była pełna tęsknoty i słodkich westchnień. Przy jej dźwiękach postawili mężowie palankin na ziemi, i Czaokiun wysiadłszy, stanęła przed tronem ze spuszczoną głową między dwiema dziewami, które ją tam oczekiwały i wachlarzami z łabędzich i modrych czaplich piór nad nią wiewały. Suknia jej mieniących się barw grała w słońcu złotem i srebrem, niby metalicznemi błyskawicami piór bażancich, spływała jej z ramion miękko i powłóczyście, wiła się długą smugą, jako tęcza płynna, po ziemi, a skraje jej gubiły się jak potok roztopionych drogich kamieni w morzu nasypanych dokoła kwiatów. Hanczenju chłonął piękne i bogate zjawisko to chciwym wzrokiem, i skłonił się potrzykroć na pozdrowienie. Juenti westchnął głęboko, zstąpił powoli ze stopni tronu, ujął dzikiego tatara za rękę i wskazując drugą ręką na dziewę okrytą zawojem, wzruszonym przemówił głosem:

— Przyjmij, o chanie—zawołał — przyjmij najpiękniejszy kwiat, jaki wyrósł w domu pysznego rodu Han! Przyjmij dziewę tę z mych rąk, czystą jako śnieg świeżo spadły na góry wierzchołku, a rzadką i drogocenną jak perła różowa, dla której setki nurków życie narażają! Jesteś zwycięzcą, mogłeś żądać i zapragnąłeś córki czarnowłosego narodu, ją chciałeś mieć jako wykupne za chramy nasze i święte popioły przodków naszych w grobach. Weź ją więc, i unieś swą zdobycz drogocenną tam daleko za lasy i jeziora! A ty, o Czaokiun, idź z pokornem sercem do namiotu swego małżonka, chana tatarskiego, zwycięzcy spółbraci twych.

Było cicho. Czaokiun nie poruszyła się, ale zawojem, podobnym opalowej mgle, w której krople rosy pod słońcem płoną, wstrząsło długie westchnienie, a mieniące się barwy szaty, zagrały tęczowo, złote nici na jej fałdach i zgięciach stały się nagle podobne zygzakowatym błyskawicom, migoczącym w chmurach. Tak zdradziła suknia mocne drgnienie członków, które osłaniała. Głowa dziewczęcia jęła się chylić niżej i niżej, i dziewy ocieniające Czaokiun wachlarzami chwyciły ją pod ręce, aby nie padła.

Głos chana kruczem krakaniem przerwał głuchą tę ciszę.

— Córo pałacu rodu Han – zawołał — pójdź i pożegnaj pokłonem tego, który dotąd był panem twoim! Wszakże słyszałaś? Moją jesteś, odejdziesz ze mną za góry i wody, o skarbie złoty, daleko, daleko, w bezgraniczne, wolne pustynie, kędy wiatr szumi, konie rżą, a szakal wyje do księżyca. Bezbrzeżnej puszczy potężną będziesz królową!

Znowu zabrzmiało głębokie z pod zawoju westchnienie, potem porwała się dziewa, zrobiła krok naprzód, głowa w dłonie drżących opadła jej rąk, a głos słodki i cichy, jak wiew zanikający w łonie krza kwitnącego, jak plusk lekki fali jeziornej, zamierający w noc wiosenną śród traw na śniącym brzegu, wciskał się w uszy i dusze wszystkich obecnych.

Czaokiun.

— Biada mi! Ogrody mego pana brzmiały słodkimi śpiewy, wysławiającymi mnie jako oblubienicę cesarza. „Pod każdym krokiem nóg twych wyrasta lilia złota!” Tak brzmiały słowa chwały pod sklepieniami biało kwitnących kamelii. A jednak serce moje nie dawało się upoić próżnej sławie, za to teraz w smutku, ach, wielkim tonie! Daleko od ziemi ojców powloką mnie w obczyznę sierocą! Przestrzeń bez granic oddzieli mnie od grobu matki mej! Nie lilie wyrastać będą pod krokiem mym, lecz łzy gorzkie jak śmierć zaleją każdy ślad, który stopa ma w piasku puszczy wyryje. Płaczem zmęczone powieki oczu mych nie zaznają snu pod dachem męża, na którego ręku przyschła krew mego ludu! Zaginę marnie, i smętny step całunem mi będzie!

Tak żaliła się dziewa, a słowa jej padały jak skry palące w piersi słuchających; stłumione łkanie było na nie odpowiedzią, a Czaokiun, ze złożonemi pokornie na piersiach rękoma, pochylona jak trzcina złamana, zbliżyła się jeszcze o krok do cesarza i rzekła cichym szeptem:

— Patrz, już ucichł mój żal! Idę, by spełnić wolę twą.

Juenti rozdarł szaty na sobie i posiniał cały. Na pierwszy dźwięk jej głosu drgnął jak gromem rażony, twarz mu skamieniała, oczy błądziły w próżni, jakby ścigając jakieś widmo pierzchliwe, a teraz mówić począł jak człowiek w śnie pogrążony głębokim.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA.

Z prasy.

Powodowany zapewne licznemi bałamuctwami większości prasy, która przy każdej sposobności mąci opinią publiczną wiele może, i prowadzi ją na manowce, ile się tylko da, pomieścił „Głos" w Nr. 22 artykuł wstępny zatytułowany: „Ofiara i ofiarność." Żałując szczerze, że niemożemy dla braku miejsca podzielić się z czytelnikami przytoczeniem całości, uważamy sobie za obowiązek myśli przynajmniej wybitniejsze powtórzyć w sprawozdaniu naszem tygodniowem Gdyby też nie słowa tym duchem tchnące, które się zjawiają jeszcze od czasu tu i owdzie, przyszłoby istotnie uwierzyć chyba w powszechność u nas służalstwa i w doszczętny wśród ogółu zanik zdrowych pojęć o istocie zasługi publicznej. Posłuchajmyż „Głosu."

„Żadne z kłamstw konwencyonalnych nie jest tak szkodliwe, żaden ze strupieszałych przeżytków tak szkodliwy i dokuczliwy, jak nałóg mierzenia czynów społecznych skalą pieniężną."

Taki jest wstęp i założenie zarazem; dalej powiada „Głos," że gdy:

„Dorobek i przedsiębiorczość, dobroczynność i ludzkość, zabiegliwość i przezorność w dziedzinie stosunków prywatnych, wcielają się zawsze w postać pieniędzy, tej samej przeto postaci szukamy w objawach życia społecznego, a zatraciwszy poczucie czystej cnoty, dobra i poświęcenia, postradawszy subtelny zmysł rozpoznawczy, któryby pozwalał na lotne spostrzeganie istoty czynu społecznego, odgadujemy zjawiska życia przez obmacywanie ostrych kantów kruszcowego przewodnika, po którym krąży energia życia zbiorowego."

Wykazawszy, że sposób taki oceniania postępków ludzkich od biedy stosowny, gdy chodzi o życie prywatne, grubym jest błędem w dziedzinie społecznego bytu, powiada „Głos" wprost i bez ogródek, że „do bractwa duchów i serc ofiarnych wkupić się nie można składką, choćby najwyższą, jeśli się wraz z nią nie daje cząstki samego siebie, a tem samem nie zrzeka odrobiny własnego szczęścia, własnego powodzenia i własnej przyszłości."

Tłómacząc wedle swoich zapatrywań istotę tak zwanej obywatelskiej zasługi, stara się „Głos" przekonać, że zatrważającem wydać się może dzisiejsze dworackie okrzykiwanie, cklaskiwanie i opiewanie każdego wielkiego daru, podczas gdy sama wysokość złożonej ofiary winnaby tylko budzić entuzyazmy ludzi grosza i ich płatnej i niepłatnej klaki, ale kluczem do serca zbiorowości być ona nie może w żaden sposób, i jak przyszłość okaże, nie będzie nigdy.

Społeczności, zdaniem „Głosu" trzeba przypominać, skoro wyraźnie zapomniała ona o tem, że dla przyszłości przynosi się dary serca i umysłu, że w ziemię dla której się żyje, jeśli się żyje istotnie, kłaść należy znój i wysiłek, że tytułem do hołdu publicznego nie może być na żaden sposób wszechmocny w pewnych sferach i w pewnych epokach pieniądz, ale że ten, który się społeczności zasłużyć albo wkupić do niej pragnie, musi ją sobie zjednać—cnotą.

Tu następuje definicya wymienionego wyrazu, z którym się dzisiaj tak rzadko spotykamy w druku, a bodaj że w praktyce życiowej rzadziej jeszcze. „Głos" utrzymuje, że to puste, jak na dzisiaj, brzmienie czas jest wypełnić nową treścią, i że jedną tylko weń tchnąć można duszę, której imieniem: poświęcenie.

Nie chcąc się w tej chwili spierać z Głosem o to, czy w życiu naszem zbiorowem treść ta koniecznie nową być potrzebuje, i czy jej w precedensach nie odnalazłby, choćby nawet nie bardzo pracowicie szukając, wyznajemy, że teraźniejszość zasługuje jednakże zupełnie na to, aby jej to a, b, c katechizmu społecznego przypomnieć, i dać zarazem do zrozumienia, że są prawdy fundamentalne, które kaprysom mody nie ulegają, i które nie tak łatwo sfałszować, jak na targowisku życia fałszują pospolitsze i tańsze jego surrogaty.

Kończy „Głos" sprawiedliwem ze wszelkich względów zapewnieniem, że dobroczyńcy ludzkości po wsze czasy tem się odznaczali, że nie dawali często od siebie ani grosza, ani łyżki strawy nawet, ale za to dla siebie nie brali nic.

Sprawy miejskie.

Pisma codzienne podają wiadomość o zatwierdzeniu prawa dla zarządu m. Warszawy do wypuszczenia obligacyi na summę 1,200,000 rubli. Fundusz ten użytym będzie na pobudowanie halli targowej na gruncie byłych koszar mirowskich. Zatwierdzonymi również zostały plany tej budowli opracowane przez inżyniera Miłkowskiego. Niewątpliwie tedy rozpoczną się już w krótkim czasie roboty doniosłego znaczenia dla zdrowia i upiększenia miasta, boć oczywiście pierwszem ich następstwem musi być zwinięcie targowiska za Żelazną Bramą—najbliższego i najmniej odpowiedniego sąsiedztwa dla Saskiego Ogrodu. Pokrycie tej pożyczki miejskiej jest już zapewnione, albowiem w swoim czasie odpowiednią deklaracyę złożyli: hr. Ł., mecenas Wrotnowski, hr. Z. i inni, deklarujący pokrycie funduszami swymi tak pożądanego dla Warszawy targowiska centralnego.

Mamy sobie za obowiązek zawiadomić, że rozpoczętą budowlę tanich pomieszkań przy drodze Górczewskiej powierzono przedsiębiorcom pp. Rothbergowi i Frumkinowi, a kierownictwo robót objął p. Goldberg. Jedno z pism robi z tego powodu oryginalną wzmiankę, jakgdyby to był taki zbieg okoliczności dziwny, którego w żaden sposób nie można było przewidzieć. Szczególny dar nieprzewidywania; tymczasem, nam się wydaje, że właśnie wszystko jest w porządku rzeczy.

W naszej naiwnej troskliwości o dobrobyt materyalny warstw uboższych ludności, dochodzimy często do wypowiadania absurdów, których tylko zupełna nieznajomość warunków produkcyi rolnej i konjunktur handlowych dopuszczać się może. Między tymi utyskiwania na drożyznę mięsa w Warszawie należą do bardziej krzyczących. Śni nam się rzutkość i przedsiębiorczość amerykańska, radzibyśmy widzieć u siebie komfort i zbytek nawet zachodu, a nie wiedzieć przez jakie kojarzenie pojęć dopominamy się o jakieś ceny przedwiekowe produktów spożywczych, które i tak nieznane są dzisiaj żadnemu z większych miast europejskich, ale z drugiej strony zupełnie są dostateczne do pognębienia miejscowej produkcyi zwierzęcej naszego rolnictwa. Mięso w Warszawie nietylko nie jest za drogie, ale jest tańsze niż w całej Europie, a nawet o połowę blizko tańsze, niż w ościennej Galicyi, która też odkąd te ceny swoje w drodze celnych reform uzyskała, odetchnęła i rozpoczęła racyonalną hodowlę inwentarzy. Od rolnictwa żądamy przedewszystkiem alchemii. Chcemy żeby nam ono produkowało dużo rzeczy dobrych, zdrowych i tanich, a nadto wymagamy jeszcze od niego, żeby prosperowało samo, co już jest niemożebną naiwnością.

Na posiedzeniu komitetu budowy szpitala Dzieciątka Jezus, które miało miejsce 2 Maja r. b. przyjęto uchwałę co do zmiany niektórych pozycyi summy kosztorysowej; pozycye te są nawet dosyć poważne. I tak budowa domu administracyi ze 170 000 rs. podwyższoną została na 250,000 rs. Koszta wzniesienia domu wychowawczego podniesiono także o 250,000 rs., a skutkiem wykazania się w toku budowy podrożenia ceny materyałów i konieczności rozszerzenia niektórych części, cała summa z 1,429,000 rubli podniesioną być musi do 2,000,000 rs. z czem postanowiono odnieść się do władzy wyższej.

Wskazówki i rady.

Sałata zielona.

Świeżą sałatę główkową, o ile można jak najżółtszą, obrać, opłókać i w czystą serwetę włożywszy, ująwszy za cztery końce, z wody wytrząsnąć. Usmarzyć na maśle cienką grzankę chleba, natartą przed smażeniem czosnkiem, położyć ją wystudzoną na salaterce, gdzie ma być zaprawiona sałata, położyć na grzance sałatę i przykryć talerzem, niech tak poleży godzinę. Wtedy wyrzucić chleb, na osobnej misecze rozrobić na 4 osoby 2 żółtka na twardo, łyżeczkę angielskiej musztardy, szczyptę białego pieprzu, octu winnego, rozmieszać to doskonale, wlać na sałatę, wymieszać i dopiero osolić, soląc bowiem na końcu liście sałaty przeniknione poprzednio oliwą i octem, nie stracą tak łatwo świeżości. Sałata cała nabiera z owej wyrzuconej grzanki smaku ostrego i nikt nie pozna, co jest przyczyną tego podniesionego smaku.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. H. K. Krojów i wzorów ubrań kościelnych nigdzie nie sprzedają. Można dostać deseni na słup do ornatu naprzykład, na stułę lub szlak do kapy, albo w pracowni robót kościelnych obstalować robotę. Panie, które robią ornaty i t. p. same muszą sobie dobierać wzory na haft złotem lub jedwabiami. W „Tygodniku Mód" dajemy ryciny podług klisz zagranicznych, których nie można dowolnie zmieniać.

Do numeru dzisiejszego dołącza się doda tek z modami i arkusz z krojami.

W dodatku Krojów i Deseni
zamiast: do N. 22 i 23 — czytaj: do N. 23 i 24.

Bracka 13. Meble bambusowe „MAISON NIPON" Najtańsze i najładniejsze. Bracka 13.

JAN GRUCZYŃSKI i S[KA]

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

polecają na sezon bieżący w wielkim wyborze:

Kretony, Piki, | Płócienka, Krystaliny, | Batysty, Organdyny, | Satynki,

Zefiry i Muśliny angielskie.

Podszewki jedwabne pod suknie muślinowe w modnych kolorach od 40 kop. 860—20—6

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 55.

POLECA NOWOŚCI NA SEZON WIOSENNY I LETNI:

Zefiry. Batysty. Płócienka. Satyny. Kretony. Dryliszki na ubrania mężkie, dziecinne i na liberye.

Wyroby pończosznicze. Bielizna gotowa damska i mężka.

Płótna. Bielizna stołowa biała i kolorowa. — ***Kołdry letnie flanelowe.***

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

855—8—8 Próby i cenniki odwrotnie franco.

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ✽ ROBERT WILCZYŃSKI

810—50—17 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

Lodownie pokojowe, Kuchenki naftowe i inne, Łóżka, Wanny, Wagi, Naczynia kuchenne.

J. Zabokrzecki i S-ka

Senatorska №. 12

891—6—1 (obok Ratusza).

Nagrodzone na Wystawie Hygenicznej w Warszawie Dyplomem honorowym.

do nabycia wszędzie | Najlepsza Marka krajowa. | KAKAO funt Rs. 90 i Rs. 1 | KAKAO na sposób Holenderski | EXCELSIOR funt Rs. 1.20 i Rs. 1.30. | Najlepsza Marka krajowa. | do nabycia wszędzie

poleca Parowa Fabryka Czekolady i Cukrów **E. WEDEL**

Filia w Warszawie i w Łodzi. 702-12-12.

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS

jedynie nieszkodliwy,

dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.**

Pudełko kop. 15, 30 i 50

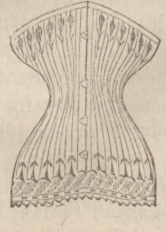
768—20-19

Chmielna 47, m. 3.

Sprzedaż gruntów na letnie mieszkania:

Wołomin i Czarna kolej Petersburska.
Chylice i Skolimów, kolej Wilanowska.
Żerań nad Wisłą, przy szosie do Jabłonny.
Pruszków, przy warsztatach kolei W. W.
Grodzisk, między trzema fabrykami.
Choszczówka, kolej Nadwiślańska. 865—10—7

ZA GOTÓWKĘ i NA ROZPŁATY.



W.W. Paniom polecą się

nagrodzony na wystawie pracy kobiet

PATENTOWANY SZYNDLERA

BIUSTHALTER



Senatorska N. 26. 776B—20-14

F. WIERZBICKI i S-ka

Warszawa, róg Wierzbowej i Trębackiej Nr. 15.

GŁÓWNY SKŁAD

russkich, zagranicznych i krajowych dywanów, materyi meblowych, portyer, pluszów, firanek, der, kołder, chodników i wycieraczek kokosowych, cerat, linoleum i t. p.

870-10-5 *Zarządzający specyalista* Henryk Pianowski.

Sprzedaż po cenach fabrycznych

Bluzki damskie koszulowe w wielkim wyborze, 880—6—4
Pończochy i pończoszki zagraniczne i własnego wyrobu,
Skarpeteczki dziecinne,
Trykoty do konnej jazdy i teatralne,
Pantofle

poleca:

S. Przybylski i S-ka

Krakow.-Przedmieście 35, obok hotelu Saskiego.



!! BEZ KONKURENCYI !!

Wózki dziecinne i Welocypedy najnowszych zagranicznych fasonów poleca fabryka

I. SŁOBODSKIEGO

872—10—5 Długa Nr. 30 Warszawa.

GEBETHNER i WOLFF

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

864-50—7 NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Pianin | Fortepianów i Organów



WYNAJEM. Sprzedaż na raty.

APTEKA K. WENDY 45 Krak.-Przedm. Telefonu Nr. 107.

873-18-5 Istniejąca od czasów elektorów saskich.

Wszelkie najnowsze środki lekarskie, Trany, Wina lecznicze, Mydła lekarskie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Мая 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Sokolnik powstał; trupia bladość wystąpiła mu na oblicze; ze sroższym nieprzyjacielem szedł on w zapasy, aniżeli Wilczek, który w tej chwili, za miastem, potykał się z Węgrami.

Załamał ręce i w gwałtownem wzburzeniu, szerokimi kroki, jął chodzić po pokoju.

— Odarty ze wszystkiego! powtarzał w myśli, oprócz z nazwiska i z tytułu! Niech je szatan pochłonie jedno i drugie zarazem!... Prawdę mówili Francuzi ścinając łby swoim markizom i dukom, że piekło na udręczenie ziemi wynalazło te głupie błyskotki!... Ostatni cham dziś szczęśliwszy odemnie! On zawsze będzie miał kawał chleba takiego, jakim żywił się od czasu, gdy mu zęby wyrosły; mnie zostanie kilka głosek, które mi wolno stawiać przed nazwiskiem, dziś na szyderstwo, jak dawniej na zaszczyt! Na zaszczyt powiadam?... ha ha! piękny mi zaszczyt! sprzedam go żydowi za worek złota, jeżeli znajdzie się gdzie dość głupi żyd, aby go kupił. Panią hrabinę, Jaśnie Wielmożną Sokolnikowę, może jaki szlachciura z litości przyjmie na gospodynię, jeżeli mu koniecznie chodzić będzie o to, aby za parę lat, jako ja, o kiju żebraczym wyszedł z domu! Marynia, moje biedne dziecię, hrabianka, pójdzie służyć do bankierowej za garderobianę! Ale bo też i świat ten znikczemniał, że aż zgroza spojrzeć! Dziewczyna wychowana jak królewskie dziecko, ze świetnem nazwiskiem, młoda, piękna, i żaden z uczciwych ludzi ku niej się nie posunie! Niemcy mają swoje panny, mówi pani Sokolnikowa; to dobrze— ależ u nas w kraju jeszcze dałoby się wynaleść, a nie u nas, to gdziekolwiek indziej, kogokolwiekbądź: Ormianina, Turka, Wołocha, przechrztę, lub kupca, byle nas tylko wyciągnął wszystko troje z błota, w jakiem grzęźniemy!

Sokolnik zaczął przeglądać papiery; niespokojność coraz gwałtowniej nim szamotała; co chwila prostował się i czoło z potu ocierał. Porwał nareszcie wszystkie papiery, wrzucił do biurka i zatrzasnął klapę. Duszno mu było w pokoju; mierził go widok szczegółów, które groźną przyszłość wiodły na pamięć; postanowił uciec od papierów, od domu, wyjść i ruszać gdziekolwiek — przed siebie, byle tylko przynieść chwilę ulgi wzburzonemu umysłowi. Ubrał się z pośpiechem i wyszedł na miasto, z niemałem podziwieniem służących, którzy nie umieli sobie wytłumaczyć, diaczego pan, wbrew zwyczajowi obszedł się dziś bez ich pomocy.

Sokolnik znalazłszy się na ulicy, ostygł nieco z pierwszych wzruszeń; chłód go owionął; otaczające przedmioty rozerwały mu na chwilę uwagę, jął też zimniej rozglądać swoje położenie, rozpaczne wprawdzie, ale nie nagłe, miał bowiem przed sobą trzy miesiące zwłoki.

Zwieszony nad otchłanią, magnat chwytał różne po kolei gałązki, ale na krótko tulił się do pomyślnych złudzeń; rzeczywistość jak upiór, co chwila przed nim występowała; podwajał kroku, uciekał przed sobą, gdy w tem zatrzymawszy się w poprzek ulicy dla przepuszczenia jakiegoś szybko przelatującego powozu, podniósł oczy i ujrzał obok siebie Kazimierza Poraja.

Sokolnik poznał nieobcą twarz, nie mógł od razu przypomnieć nazwiska młodego człowieka, pokrótce jednak zebrał rozprzężone myśli i odgadł młodszego Poraja, którego starszy brat, przedstawił mu był na wczorajszym balu.

Błyskawicowa myśl mignęła mu przez głowę; — widział przed sobą brata, owego pana Piotra, przed którego kassą Dahlman wedle swego wyrażenia, pokornie się kłaniał.

Konieczność i wola, jako czarodziej lub biegły maszynista, w mgnieniu oka zmieniły dekoracyę jego oblicza. Scena twarzy zakłopotanego magnata przedstawiała śmiejący obraz wewnętrznego zadowolenia; postawa odzyskała niewymuszoność, i Sokolnik stał na bruku z tą samą swobodą, z jaką dawniej przemykał się po wykwintnych wiedeńskich salonach. Zbliżył się do Poraja i z wdzięcznym wyrazem podał mu rękę.

— Jak uważam - rzekł—panie Kazimierzu, wczorajsze trudy nie musiały bardzo ci dokuczyć, kiedy nie naśladujesz naszej młodzieży, z której połowa, założyłbym się, że śpi dotąd, choć już blizko południa.

Niespodziana uprzejmość Sokolnika mile zadziwiła Kazimierza.

— Nie ma w tem z mojej strony żadnej zasługi — odrzekł zapytany — nie należałem wczoraj do czynnej młodzieży; nie mam prawa korzystać ze słusznego jej przywileju do długiego wywczasu.

— Nie lubisz tańca — przerwał Sokolnik — dobrze czynisz; ja także byłem niegdyś młodym, a wyznam, że nie przepadałem za tem wyskakiwaniem, gdzie zawsze więcej zmęczenia niż prawdziwej przyjemności. Wolisz przechadzkę, nieprawdaż?..

— Nie koniecznie panie hrabio; nic mnie tak nie męczy, jak każda bezcelowa czynność. Wyszedłem dziś dla tego, że oddawnych lat nie widziałem Lwowa; korzystam z pięknego poranku i chcę obaczyć, o ile się od owego czasu odmienił.

— Znajdziesz bezwątpienia wiele zmian — podchwycił magnat — sam jeden atoli długo byś ich szukał. Jestto zwykła godzina mojej przechadzki i jeżeli pozwolisz, będę ci służył za przewodnika.

— Pan hrabia jesteś zbyt łaskaw.

— Tak pan sądzisz?... zapominasz, że gonię przedewszystkiem za własną korzyścią. Dla nas starych, prawdziwa to gratka pobaraszkować z młodzieżą. Towarzystwo wasze jest źródłem odmłodnienia, z którego radzibyśmy jak najczęściej czerpać, gdyby nie obawa zanudzenia was na śmierć.

Kazimierz uśmiechem zaprzeczył słowom Sokolnika.

— Po co prawdę owijać w bawełnę, ciągnął tenże dalej; przyjmuję twój uśmiech jako grzeczne kłamstwo dobrze wychowanego człowieka, i za karę musisz pozwolić mi oprzeć się na twojem ramieniu; będzie to żywy symbol naszych dwóch wieków.

Przy tych słowach wzięli się oba pod ręce i poszli w miasto. Sokolnik oprowadzał swego towarzysza, pokazywał mu nowo wzniesione gmachy i zakłady, świadczące o wyraźnym postępie kraju, jakoto obszerne więzienie, zbudowane na rozkaz księcia kanclerza, koszary dla linjowej piechoty i odświeżone kollegium OO. Jezuitów.

— Według tego, co widzisz—mówił mu—zmian u nas nie wiele; daleko jeszcze naszemu Lwowu do miast europejskich, nawet trzeciego rzędu.

— Zapewne—odrzekł Kazimierz—nie miałby on też dla mnie żadnego uroku, gdyby nie był pierwszem miastem, jakie widziałem w dziecinnych moich latach. Wówczas sądziłem, że na ziemi nie ma większego grodu i odtąd pośród zgiełku głównych stolic Europy, częstom ku niemu myśli i pamięć obracał.

— Rozumiem cię, panie Kazimierzu; jestto skutek owej miłości do rodzinnej ziemi, z jakiej my Polacy po całym świecie słyniemy! Ja także doświadczyłem tego uczucia, długo przesiadując w Wiedniu, gdzie mnie powoływały interesa, krajowe raczej, niż moje własne. Pamiętam, z jaką rozkoszą porzucałem stolicę, aby choć na chwilę odetchnąć ojczystem powietrzem. Powiem ci nawet, że im dalej zachodziłem w lata, tem tęsknota stawała się nieznośniejszą, tak, że nareszcie całkiem opuściłem Wiedeń i umyśliłem resztę życia przepędzić na wsi.

— Przeszłej jednak zimy, pana hrabiego nie było w kraju?

— Ostatnia też to, którą strawiłem w stolicy, tylko com nie rzekł: „za granicą.“ My, ludzie starego autoramentu nie możem przyzwyczaić się do uważania Wiednia za naszą stolicę.

Kazimierzowi rozjaśniała twarz na te ostatnie wyrazy, pełne szlachetnego staropolskiego ducha; Sokolnik spostrzegł to i prawił dalej

— Musiałem uczynić z siebie ofiarę dla dokończenia edukacyi mojej córki, szczerze jednak wyznam, że dzień wyjazdu z Wiednia był dla nas trojga familijnem świętem. Żona moja także pragnęła wrócić czemprędzej na wieś. Dobro włościan koniecznie wymagało naszej obecności, jeżeli bowiem opieka właściciela ma wpływ na ich stan materyalny, nawzajem troskliwa o ich los Pani, jest dla nich aniołem pocieszycielem, ucieczką w nadzwyczajnych wypadkach, gdzie bieda ludzka najskuteczniej odwołuje się do niewieściego serca. Pod tym względem muszę oddać słuszność mojej żonie; chociaż wystawiam się na zarzut, że sądzę własną sprawę; wychowana na wsi, w domu dawnego stylu, gdzie cała wieś, całe dobra nawet składały jedną rodzinę, przyuczyła się żyć więcej dla drugich niż dla siebie, nieraz z uszczerbkiem własne

go zdrowia. Często przychodziło między nami z tego powodu do sprzeczek, które jak zgadujesz, kończyły się zawsze moją porażką. Musiałem ustępować. Ja także tym razem posiedzę dłużej niż zwykle; muszę bliżej wejrzeć w szczegóły gospodarstwa; nadchodzi czas, gdzie będę winien zdać rachunek z kilkunastoletniego zarządu.

— Pan hrabia masz zapewne małoletnich pod swoją opieką?

— Córkę własną panie Kazimierzu.

— Tak bliskie stosunki wcale nie są naglące, odparł wesoło młodzieniec.

— Przeciwnie, dziewczyna lada dzień może wyjść za mąż, dla mnie zaś wszystko jedno, czy pan zięć będzie wymagającym lub powolnym; pragnę odrazu stanąć z nim na czysto. Trzeba więc wcześnie pochodzić trochę koło interesów, nie szczędzić pracy dość nudnej wprawdzie, ale nie przedsięwziętej w samolubnym celu. Ja z sobą nic na tamten świat nie wezmę, pracuję nie dla siebie, ale dla mojej jedynaczki, dla drogiego dziecka, które umila mi zachód dni moich.

Takiego rodzaju Sokolnik prowadził rozmowę, dziwną bezwątpienia w innym kraju niż w Polsce. Magnat atoli znał strój duszy rodaków, wiedział czem ich najlepiej ująć za serce.

Otwartość ta i szkodliwe, często wynikające z niej skutki, najlepiej dowodzą niezgodności charakteru polskiego, ze strojem, na jaki nakręca się zgangrenowany dzisiejszy świat wojny i przywileju. Kazimierz wszelako był jednym z ludzi umiejących ziarno uczucia wydobyć z pod przestarzałych plew śmieszności. Zwierzenia Sokolnika w pierwszej chwili nieco go zmięszały, wkrótce przychylnie atoli spoglądał na zaufanie, jakiem go tenże otaczał i przylgnął doń całą duszą. Cenił on wyżej starodawne wady, ale wyrosłe na gruncie szlachetnym, niżeli wiele dzisiejszych cnót chwiejących się na ich podstawach samolubstwa. Sokolnik jasno odgadywał zadowolenie, jakie obudzał w swym towarzyszu.

— Już podobno pokazałem ci wszystko, co zasługiwało na twoją uwagę, mówił wymuzykowanym głosem; jeżeli Lwów zawiódł twoje oczekiwania i do tego nie wiele zabawiłeś się w towarzystwie ze starym gadułą, może zechcesz wynagrodzić sobie te chwile dziś u mnie wieczorem. Znajdziesz się w swobodniejszym i właściwszym żywiole. Czy możesz, panie Kazimierzu, podjąć się zaprosić ode mnie twego brata?

— Będziemy obaj korzystali z uprzejmości pana hrabiego — odrzekł Poraj z ukłonem.

— Do widzenia zatem; czekam was około dziewiątej; my żyjemy tu na parafii i nie zaczynamy wieczorów tak późno, jak w wielkich miastach.

Sokolnik uścisnął dłoń młodzieńcowi i odchodząc, przesłał mu jeszcze ręką i głową pozdrowienie. Kazimierz pospieszył do brata.

— Biedny mój Piotrze—rzekł, wchodząc—dziś znowu musisz włazić we frak. Spotkałem Sokolnika, który zaprosił nas do siebie na wieczór.

— Zgoda, dobrze — odparł Piotr — pójdziemy. Nie pojmuję, zkąd ta niespodziana łaska, boć JW. Sokolnik ze szlachtą nie rad się wdaje.

— Uprzedzenie z waszej strony, Mości Piotrze, albo też i wina samej szlachty, która za oczami piorunuje na pychę panów, w oczy zaś czapkując przed nimi, i ścieląc się pod stopy, sama zrzeka się swojej godności. Cóż dziwnego, że później nie oddają jej tego, czego wprzód własnowolnie się wyparła.

— Być może, że masz słuszność. Nie chcę wdawać się w rozprawy o nizkiej i wysokiej szlachcie; mam czem innem zajętą głowę, dla mnie wreszcie Sokolnik był niewypowiedzianie grzecznym. Tymczasem rad jestem Kaziu, że przyszedłeś. Po zabawie należy wziąść się do pracy. Oto rachunki, które miałem ci przedstawić.

— Ależ mój Piotrze, nie widzę nic tak pilnego, możem bezpiecznie odłożyć je na później.

— Bynajmniej; pragnę ułatwić się natychmiast. Wkrótce będę musiał wyjechać na kilka tygodni; chciałbym, abyś mnie zastąpił w niektórych interesach. Nadto zbliża się pora kontraktów; nie wiem, czy zgodzisz się trzymać mnie nadal za pełnomocnika; może zażądasz podziału? przypatrz się więc obecnemu stanowi massy. Pamiętaj, że byłeś ze mną w spółce we wszystkich moich przedsięwzięciach; opierałem je bowiem na wspólnym naszym majątku. Passiva najkrócej nas zatrzymują; tych nie ma zupełnie. Tu zaś— mówił Piotr dalej — nałożywszy okulary i przewracając papiery, znajdziesz cały wykaz aktywów i sperandę tegorocznego bilansu.

— Mój Piotrze — przerwał Kazimierz — zostańmy jak byliśmy dotąd, z tą różnicą, że ja wezmę na siebie połowę pracy; ty rozporządzaj, ja będę wykonywał twoje rozkazy.

— Dobrze Kaziu przystaję; później o tem pomówimy; teraz weź ten oto rejestr; przejrzyj rubryki. Gotowego kapitału, mamy podobno bez czegoś 48.000 czerwonych złotych. Jeżeli cena zboża, jak mi piszą z Odessy, dalej się utrzyma, spławy naszej i kupnej pszenicy na Dniestrze, powinny drugie tyle uczynić. Przejdźmy do inwentarza nieruchomości.

— Zaklinam cię, Piotrze, odłóż te rachunki do naszego powrotu na wieś; nic nas przecie nie nagli. Wreszcie jak uważam, pracowałeś od samego rana; pozwól—ja sam przejrzę papiery, nie potrzebujesz się trudzić.

— Zgoda, czyń jak chcesz, ale skoro masz zamiar zabrać się do dzieła, bądź łaskaw rzucić okiem na te kilka projektów, mianowicie zaś na ten ostatni względem nabycia lasu, graniczącego z twoim majątkiem. Kupno nader korzystne, wszelako czworo oczu więcej widzi niż dwoje. Zastanów się nad nim dokładnie i objaśnij go uwagami na piśmie.

Piotr porozkładał w porządku papiery, widząc zaś, że Kazimierz bacznie poglądą przez okno na jakieś chmurki, wełniące się na błękicie, osądził, że brat zadumał się nad kupnem lasu i postanowił nie przerywać mu rozmyślań.

Pan Piotr wiecznie miał na głowie massę swoich i cudzych spraw, nie mając też czasu na zbycie, wyniósł się cichaczem na miasto.

Kazimierz przypomniał sobie polecenia brata; tem więcej pragnął ku nim zwrócić uwagę, że chciał był rozbujałą myśl osadzić na jakimś punkcie rzeczywistości. Zasiadł przed stołem i położył przed sobą arkusz białego papieru.

Snać musiał głęboko wziąć na rozwagę zamiary przemysłowe brata, długo bowiem myślił i w górę spoglądał, zaczem zaczął papier pokrywać głoskami. Po niejakim czasie, skoro Piotr wrócił, i ukradkiem, przez ramie piszącego spojrzał na stolik, z niemałem podziwieniem zamiast cyfer i rubryk, spostrzegł środek tylko arkusza od góry do dołu zapisany; każdy wiersz zaczynał się od wielkiej głoski, co cztery takich wierszy był przedział oznaczony gwiazdką, po bokach zaś pląteły się nakreślone piórem twarze, ułomki krajobrazów, arabeski, konie, dziwne igraszki widocznie chorej wyobraźni. Piotr pokręcił głową i poszedł do drugiego pokoju; Kazimierz ciągle pisał dalej. Korzystał z rozkołysania myśli, z pomyślnej chwili, a była to, widno, nie tylko dla niego samego godzina marzeń i samotnych zwierzań się przed papierem.

Salon Sokolnika iskrzył się od świateł; kępy kwiatów po kątach umieszczone roznoszące łąkom i lasom nienaszym nieznane zapachy, weselą zielenią, z jakiej zima, na zewnątrz pańskiego pałacu ogołociła naturę, a weselą tylko oblicza przychodniów, do wesołości bowiem i swobody rozlanych na twarzy gospodarza i gospodyni, nic dodać nie podobna.

Śród tego przepychu, jak królowa kwiatów, słania się biała dziewczyna, piękna jedynaczka Sokolnika. Pani ta otaczających ją egzotycznych krzewów, jedną ma z niemi naturę. Taka blada i przejrzysta jak one, tak samo kołysze się na swojej kibici, tak samo do życia, zdaje się potrzebować ciepła i słońca, a lękać mrozu i wichrów północnych.

W salonie towarzystwo małoliczne, ale dobrane.

Z młodzieży niema prawie nikogo. Ta po śniadaniu u Wilczka, zamiast salonowych poziewań, wolała zebrać się do Juljusza na karty; dwóch tylko mało z nią zażyłych, Kazimierz i młody hrabia Fürstemberg, ten sam, którego Wilczek z upragnieniem u siebie oczekiwał, przybyło do Sokolnika.

Rozmowa z początku, łatwo odgadnąć—potoczyła się o pojedynku Wilczka. Kilku starych dygnitarzów powstało przeciw szaleństwu młodzieży; kilka podeszłych matron wykrzykiwało na bezbożność; dziewczęta rade, że nikt nie poległ, ciekawie wypytywały o szczegóły i przyrzekały sobie w duszy, jednym rany, drugiemu zaś odwagę wynagrodzić wdzięcznemi uśmiechy.

(Dalszy ciąg nastąpi).